Nr. 25. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 17 Czerwca 1871

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

TREŚĆ:

OD REDAKCJI.

Sześć miesięcy minęło od wydania programu naszego pisma, w którym przyobiecaliśmy odzwierciedlać ruch umysłowy i społeczny **całéj** Polski, ze szczególném uwzględnieniem potrzeb i działalności **naszéj prowincji**. Kładliśmy główny nacisk na nasz kierunek naukowy.

Wywięzując się z przyrzeczenia zebraniem w łamach naszych w ciągu sześciu miesięcy szanownych prac archeologicznych i filozoficznych Dra Karola Libelta, prawnych Dra Olendzkiego, — psychologicznych J. Ochorowicza, — monografji okolic kraju Walerego Eljasza, — w części literackiéj: udziałem p. Pauliny z L. Wilkońskiéj, pp. J. I. Kraszewskiego, Wł. Sabowskiego (Wołodego Skiby), Józefa Narzymskiego, — oraz powszechnie cenionych poetów: Henryka Merzbacha, Wład. Ordona i Wład. Bełzy, — wreszcie w części artystycznéj utworami muzykalnemi pp. Hertza, Dembińskiego, Danysza, Borozdina, Połczyńskiego, — co wszystko przeplatały korespondencje z Warszawy, Krakowa, Lwowa i różnych miejsc naszéj prowincji, — widzimy z pociechą przy końcu półrocznego istnienia naszego pisma, że liczba abonentów jego i szereg prac, nagromadzonych w naszéj tece, dobrą przyszłość mu wróży.

Możemy więc **żyć**, — ale chcemy żyć i działać w **pełni, szerszym zakrojem.**

Dla tego, wolni od zarzutu widoków spekulacyjnych, a przejęci chęcią utworzenia z **Tygodnika Wielkopolskiego skarbca prac najcelniejszych naszych pisarzy** i obdzielenia tą komunją duchową jak najszerszego koła czytelników, wzywamy Szanowną publiczność o jak najliczniejszy udział w prenumeracie, który pozwoli nam rozszerzyć ramy naszego pisma i podnieść je do takiego stopnia popularności i wartości, jakiego nasza gorąca żądza służenia krajowi pragnie.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi **15 sgr.** dla **miejscowych**, **18¾ sgr.** dla **zamiejscowych abonentów. Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w ekspedycji Dziennika Poznańskiego.**

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

Wedle uważania autora słońce jest punktem olbrzymich sił w nieustającém ich działaniu, z objawem więc odpowiedniéj potęgi nieustannie gorejącego ogniska, to jest światła i ciepła, czyli wielkiéj iskry elektrycznéj, ciągle jaśniejącéj, nigdy mniejszéj ani większéj, nigdy bledszéj ani jaśniejszéj, — jest życiem całego swojego systematu (str. 298). Gdybyśmy myślą wyjęli wszystkie ciała z systematu słonecznego, a słońce zostawili samo (t. j. gdybyśmy przerwali działanie sił) ujrzelibyśmy je ciemne. — Ziemia odcięta od słońca byłaby ciałem ciemném i zlodowaciałem (str. 299). To samo się rozumie o wszystkich gwiazdach będących słońcami. A wszystkie systemy słoneczne muszą mieć punkt środkowy, około którego krążą. Sir Humfry Davy podaje doktrynę swoją zamieszkałości światów, a zatém i słońca*).

Nie ma przyczyny w naturze, któraby zerwać mogła harmonję systemu słonecznego, a ztąd światło i ciepło nigdy nie przestanie ogrzewać ziemi i przyświecać jéj życiem światłu (str. 305). I wszystkie inne gwiazdy ani się zapalają ani gasną, lecz wiecznie wieczném światłem świecą, jak słońce. Fenomen zaś zapalania ich gaśnienia tłomaczy się biegiem ich w przestrzeni. Odległe od nas, są niewidzialne; bliżéj nas, świecą (str. 306).

Oto jest w głównych zarysach filozofja słońca naszego autora. Nie można jéj odmówić genjalnego poglądu i znajduje stwierdzenie w doświadczeniach chemicznych. Foucault n. p. zakończył konduktory (druty) w stosie Bunsena o ciągłym strumieniu, kawałkami twardego węgla; zbliżając je do siebie, otrzymał światło ciągłe, wyrównywające jasności słonecznéj. Podobnie może być słońce wielką iskrą elektryczną. Wszelako najnowsze odkrycia astronomiczne i spektralne są takiemu przypuszczeniu przeciwne.

Astronom William Herschel ustawiwszy swój 40 stopowy teleskop na przylądku Dobréj Nadziei, sięgnął po za granice gwiazd stałych i po za drogę mleczną, i odkrył tak nazwane nebulozy czyli mgławice, będące osobnemi drogami mlecznemi. Są to osobne archipelagi gwiaździste takiéj odległości, że aby z nich do nas światło doszło, potrzebuje siedmset tysięcy lat, kiedy z naszéj drogi mlecznéj światło tylko dziesięć tysięcy lat na tę drogę potrzebuje. Jedne z tych mgławic rozwięzywały się na roje gwiazd nadzwyczajnie skupionych; inne miały miejsca nierozwiązalne, inne wreszcie, które dla tego planetarnemi nebulozami nazwano, nie przedstawiały żadnéj gwiazdy. Kiedy astronoma angielskiego ta niezmierzoność stworzenia zdumiała, zadał sobie pytanie, ażali świat stworzon raz na zawsze i na całą wieczność, czy też ciągle się tworzy i powstaje. I mąż ten oświadczył się za tém drugiém. Następnie już syn jego, John Herschel, a późniéj potężniejszy refraktor lorda Rossa w Parsonstown w Irlandji rozwiązali tą potęgą dalekowidzenia nawet nebulozy planetarne na roje gwiazd. Wszelako pozostała i dla nich massa mgławic nierozwiązalnych. Kwestja byłaby w zawieszeniu, czyby i te ostatnie pod potężniejszemi teleskopami na gwiazdy rozwiązać się nie dały, i opinja poczęła już przemawiać za odrazowém stworzeniem świata. Analiza spektralna uchyliła tę niepewność. Jeżeli światło mgławic da widmo z kresami ciemnemi, tam są roje gwiazd, acz ich refraktor Rossa nie docieka. Jeżeli to widmo zdradza kresy jasne, tam jest materja kosmiczna do tworzenia się nowych światów, a żaden teleskop gwiazd w niéj nie odkryje. I pokazało się wiele takich widm z kresami jasnemi.

A więc teorja pana Levittoux odrazowego na całą wieczność stworzenia świata upada. Świat jest jako jego Stwórca niezmierzony i odwieczny, ale pojedyńcze jego twory powstają i znikają w czasie, chociażby na to miljonów i biljonów lat potrzeba.

Pierwszy John Herschel wpadł na ślady ruchu całego naszego systemu słonecznego w przestrzeni. Maedler wskazał z prawdopodobieństwem Alcjonę w grupie Plejad, jako na punkt środkowy, około którego toczy się słońce w $22\frac{1}{2}$ miljona lat ubiegając 7 mil na sekundę. Punkt środkowy wszystkich systemów słonecznych a może i wszystkich nebulozów naturalnie jest niewiadomy, ale ruchy te wirujące są prawdopodobne.

Co nam autor powiada o paleniu się słońca, jako ogromnéj iskry elektrycznéj, którą to teorję i do innych gwiazd rozciąga, zostało zachwianém przez odkrycie słońc ciemnych. Astronom Bessel pierwszy wniósł z obrachunków na perturbacji Syrjusza opartych, że ta gwiazda musi mieć towarzysza ciemnego, około którego się obraca. Nawet A. Humboldt nie dowierzał temu odkryciu. Aż oto astronom Peter obliczył obrót tego niewidomego ciała ciemnego na 50 lat 27 dni, a astronomowi Clark udało się za pomocą potężnéj lunety w Cambridge, w nocy 31 stycznia 1862 r. odkryć to Syrjuszowe słońce. Następnie Maedler odkrył takie ciemne słońce w Procyonie, a Schubart obliczył, że gwiazda pierwszorzędna Spica (kłos) obraca się około ciemnego słońca w perjodzie lat 40. Zdaje się też, że sama masa sprawuje grawitację innych ciał niebieskich około siebie, i że mogą być środki ciemne, w okół których się słońca jasne obracają.

Co do zapalania się nagłego i gaśnienia gwiazd na niebie podziwiać musimy śmiałość uczonego naszego autora, że tę okoliczność przypisuje przybliżeniu albo oddaleniu się gwiazd od ziemi. Stopniowy wzrost lub upadek światła, dałby się tą okolicznością jeszcze wytłomaczyć, chociażby należało wprzódy dowieść, że ruch gwiazdy ku nam lub od nas istotnie miał miejsce. Ale jakże tym sposobem tłomaczyć nagłe zjawienie się świetelnéj gwiazdy albo jéj zgaśnienie? Arago udowodnił, że aby gwiazda pierwszorzędna zejść mogła na gwiazdę drugorzędną przez samo oddalenie, potrzebowałaby na to sześć lat, gdyby się posuwała szybkością światła, ubiegając 40 tysięcy mil na sekundę. Takiéj chyżości ciał niebieskich nie znamy. Jest ona dziesięć tysięcy razy większa od biegu naszéj ziemi około słońca a blisko sześć tysięcy razy większa od biegu słońca w okół jego obrotu około punktu środkowego.

Pomijam liczne dowody stopniowego lub perjodycznego zmieniania się światła a ztąd rzędowéj wielkości gwiazd, zaznaczam tylko, że w listopadzie 1572 r. astronom Tycho Brahe przy obserwacjach zwyczajnych

*) Zob. dzieło jego: „Ostatnie dni filozofa“ w tłomaczeniu francuzkiém przez Flammariona, a w polskiém z francuzkiego przez I. Wagę 1868 r. pod tytułem: „Wielość światów zamieszkiwanych“, wybornym stylem napisane.

nieba ujrzał przy konstellacji Cassiopei gwiazdę niezwykłego światła, któréj tam nigdy nie było. Zwoływał ludzi, czy to samo widzą, bo sobie samemu nie dowierzał. W styczniu 1573 r. poczęło się jéj światło zmniejszać, a w marcu 1574 r. znikła z firmamentu zupełnie. Ze światła białego przechodziła na żółte a w końcu na różowe. Duński astronom tłomaczył sobie ten ciekawy fenomen pożarem na niebie, jakoby ciało niebieskie w ogniu kończyło żywot swój. Wszakże Maedler z Dorpatu wartując obserwacje aż do drugiego wieku przed Chrystusem, odkrył 22 gwiazd nowo pojawionych na firmamencie, dotąd poświetlających.

Gwiazd ciemnych na niebie domyślano się dawno, z koloru firmamentu podczas nocy, który przedstawia szmaty półcieni i czarnéj przestrzeni, zamiast żeby być powinien półjasny i naszpilkowany gwiazdami, gdyby ich świateł nie zasłaniały albo masy kosmiczne nieświecące a połykające światło, albo gwiazdy ciemne w ogromnych ilościach. John Herschel przyjmuje i jedno i drugie. Masy kosmiczne dają półcienie, gwiazdy ciemne całocienie.

Od czasu Hipparcha wiele świateł z firmamentu zniknęło, inne zmalały w napiętości światła. Były to ciała niebieskie w perjodzie palenia się, wolnego krzepnienia, aż nareszcie zamienienia się na ciała ciemne. A gdy ciało niebieskie, wodorodem napełnione z czasem zapali się, powstaje nagłe zjawisko gwiazdy na niebie.

Nakoniec zamieszkalność słońc i planetów, a może i księżyców nie da się podobno nigdy udowodnić. Wszakże jest to rzeczą prawdopodobną, rzekłbym nawet konieczna. Warunki żywota tych organizmów roślinnych, zwierzęcych i intellektualnych nie są nam znane. Trzeba przypuścić, że w ogólności wiele są różne od ziemskich. Atoli natury globów niezliczonych w przestrzeni kołujących bez organizmów, pojąć nam niepodobna, a wszechmoc Boża przypuszczenie to nakazuje.

Co nam autor o wszechświecie prawi, nie jest ani fizjologicznym ani filozoficznym nań poglądem, ale jest pięknym i poetyczném obrazem na okazanie, „że mądrość najwyższa rządzi wszechświatem, w nim się uznaje, przez niego się objawia, kiedy miłość całą naturę ożywia i w harmonijną całość sympatji i wspólności celów wiąże“ (str. 313), z czego wypada, „że ani człowiek nie był celem planów stworzenia, ani ziemia nie jest centrum moralnem wszechbytu“ (str. 315). Na tę zasadę zgodzi się zapewne każdy, choć niejednego obrazi wysłowienie się autora: „że wszechświat jest ciałem dla Boga, jak ciało człowieka jest ciałem dla jego ducha“ str. (313). Tak rzucone zdanie trąci panteizmem i obraża teologiczne zdanie o Bogu, jako istocie najwyższéj pozaświatowéj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

W półgodziny po zażyciu, Pilski siedział na krześle w swoim pokoju, z oczyma wlepionemi w podłogę, wzdychając ciężko i boleśnie. Zupełnie tak samo o tym samym czasie panna Petronela siedziała na ławeczce, patrzyła w ziemię i ciężko a boleśnie wzdychała. U niéj te bolesne objawy melancholji wywołało parę tuzinów lat, które ją karmiły bezustanku pigułkami zwichniętych marzeń i zawiedzionych nadziei, u Pilskiego tuzin gałeczek, ukręconych podług przepisu lekarza Babiéj wyspy, sprawiło taki sam skutek. Z tego zestawienia dopiéro poznać można potęgę leków i wiedzy doktora Augustyna Tuckiego, chociaż i o tém zapominać nie należy, że skutki, jakie się okazały, nie leżały w planie i zamiarach doktora, gdyż pacjent nie zastosował się do sposobu, w jaki mu zalecono zażywać lekarstwo.

Pilski wpadł w czarny smutek, w melancholję, w osowiałość, zobojętniał na wszystko, zamknął się w swoim pokoiku, nie wpuszczał do siebie nikogo, nawet doktora i Kazi, jedném słowem usunął się zupełnie z widowni wypadków, w których dzień przedtém tak żywy jeszcze udział brał na Babiéj wyspie.

Wypadki te musiały zatém płynąć naturalną swoją koleją.

Około godziny dziesiątéj rano pojawił się jak codzień listonosz. Oprócz dzienników i innych korespondencji przyniósł on dwa listy, jeden pod adresem pani Tuckiéj, drugi przeznaczony dla p. Baltazara Gącińskiego.

Pani Tucka przeczytała swój liścik, i nie poprzestała na jedném przeczytaniu, delektowała się nim i bawiła, a w końcu ukryła go za gorsem, mówiąc do siebie:

— To szczęście, że ten bilecik nie wpadł w ręce Augustynowi!

Pismo, które się tak spodobało pani Helenie z Papicińskich, musiało być chyba samemi westchnieniami pisane. Jakoż w istocie było ono téj treści:

„Ach! pani!

„Miłość!... ach!... miłość bez nadziei!... o! jakaż to straszna męczarnia!... Ach! od dwóch lat jedyném szczęściem mojém, jesteś ty, pani, która... ach! nie domyślasz się tego nawet... Teraz, ach!... twardy los każe mi opuścić Kraków na długo, ach! może na zawsze!... Żyć zdala od ciebie, bez drobnéj choćby pamiątki... o! pani, tego bym nie potrafił... Jeżeli więc pragniesz osłodzić mi życie w oddaleniu... ach! pani, bądź jutro rano na półgodziny przed odejściem wiedeńskiego pociągu w „Orzeźwialni“, przy dworcu kolei... i tam pozostaw na ławeczce swoją chustkę... będzie to dla mnie jedyną pamiątką po tobie, pani... a jeśli mi téj pamiątki odmówisz, to... ach!...“

Tutaj widocznie pióro wypadło piszącemu z ręki, bo już więcéj nie było ani słowa, nawet podpisu.

Być kochaną tak czule, tak namiętnie, z takiém zaparciem się siebie ze strony tego, w kim miłość obudziła, być kochaną z daleka od dwóch lat, w milczeniu, uwielbieniu, które się nawet na wyznanie z obawy obrażenia nie ośmieliło, cóż to za niesłychany tryumf był dla pani Tuckiéj!... Gdyby była miała na sumieniu jaki list bezimienny, możeby wpadła na domysł, że ta cała miłość bez adresu i nazwiska mogła być jakąś mistyfikacją, — ale pani Helenie, przynajmniéj od ostatniéj spowiedzi i otrzymanego rozgrzeszenia, sumienie nie wyrzucało żadnego anonimu, nie wpadła więc na ten domysł i list za najautentyczniejszy z uczuciem dumy przyjęła.

Nad pytaniem czy iść, czy nie iść, zastanawiała się bardzo niedługo.

Dla czego było nie pójść?... byłoż w tém co kompromitującego dla niéj, że się dowie, iż ją ktoś w ciszy uwielbiał, zwłaszcza téż ktoś opuszczający Kraków na długo, może na zawsze?... Za pójściem nadto przema-

wiała ciekawość, przemawiała także i litość, bo jak tu odmówić człowiekowi, który tak mało żąda w zamian za wierną i stałą miłość, bo jednéj chusteczki na pamiątkę. Musiałby o złe serce posądzać panią Tucką, ktoby przypuszczał, że się zdecyduje nie iść, a i pani Tucka nie miała także złego serca, które zresztą w ogóle u płci pięknéj jest bardzo wyjątkowym fenomenem.

Pani Helena zajrzała do kalendarza, ażeby się dowiedzieć, o któréj godzinie odchodzi ranny pociąg do Wiednia. Było to niezawodnym już znakiem, że prożba bezimiennego wielbiciela zostanie wysłuchaną i spełnioną.

Kalendarz powiedział pani Helenie z Papacińskich rzecz, któréj się nie spodziewała zupełnie.

Pociąg ranny do Wiednia odchodził o godzinie szóstéj!

Łatwo się było zdecydować na uczynienie zadość bezimiennéj proźbie, nietrudno byłoby pójść do „Orzeźwialni“ i zostawić chustkę na ławeczce, ale jak tu wymyślić pretekst do wyjścia z domu zaraz po piątéj z rana?...

Panią Tucką aż zabolała głowa, nim zdołała wymyślić pozór odpowiedni, ale go nareszcie wynalazła, jakby umyślnie na dowód prawdziwości przysłowia, że potrzeba jest matką wynalazków.

Gdy dr. Augustyn powrócił od pacjentów, zastał małżonkę cokolwiek bledszą niż zwykle i bardzo smutną. Głowę miała przewiązaną chusteczką.

— Co ci to, Helciu? — zagadnął ją niespokojnie.

— Cierpię, — odpowiedziała.

— Cóż ci dolega?...

— Migrena...

— Pozwól... dotknę się ręką głowy...

— Nie trzeba... ja się znam na tém...

— No, to ci przyrządzę lekarstwo?

— Żadne lekarstwo mi nie pomoże...

— Więc cóżby ci pomogło?... jak sądzisz?...

— Jedno tylko... wody...

Doktor Tucki pochwycił się za głowę.

— O! ja nieszczęśliwy! — zawołał, — zachciało ci się jechać za granicę... Helciu!... miéj rozum!... toby mnie zrujnowało do szczętu.

— Ale któż ci mówi o zagranicy, mój mężu, — odpowiedziała pani Tucka, — niby to w Krakowie nie mamy zakładu wód mineralnych?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STRZASKANA LUTNIA.

Z wspomnień ostatniego powstania

przez

Henryka Merzbacha.

(Dalszy ciąg.)

ἀνάγκη.

Dziecię.

Płacze dziecko w kołysce — otwiera oczęta:
„Mateczko! woła — czemu te gwiazdki spadają?“
I wyciąga do góry bialutkie rączęta,
Jakby chciało je schwycić... „Złapać się nie dają!“

„Mateczko! jedna gwiazdka złociuteńka była
I błyszczała tak jasno!... biegłem z nią do góry —
A ona tak wesoło się ze mną bawiła
Żem chciał ją ucałować... a wtém znikła w chmury!...

„Szukałem ją po chmurach.. ale tam tak ciemno
Tak strasznie ciemno było, żem się zląkł i zleciał!
Mateczko! może jutro pójdziesz razem ze mną?...“

„Szczęśliwe dziecko! woła, pieszcząc je, kobieta —
Jużeś tak wcześnie, synku, do nieba doleciał!“
A głos nieznany dodał: „Niestety! poeta!...“

* * *

Majowe rano. Zorza. Wszystko się uśmiecha —
Wszystko śpiewa i kocha — nawet grób się śmieje —
I w promienie bogata najbiedniejsza strzecha...
O, cudny przedświt życia! — Snów czarowne dzieje!

„Mateczko! czemuż płaczą kwiateczki w około?
Czy może je kąsają te motylki białe?
Czemuż niedobre ptaszki śpiewają wesoło,
Gdy te biedne kwiateczki zapłakane całe?“

„Nieprawdaż? razem będziem motylki odganiać?
Cóż im złego zrobiły te prześliczne kwiatki?
Będziemy je rączkami od muszek zasłaniać?“

„O, tak! mój aniołeczku“ odrzekła kobieta
Z uśmiechem pełnym pieszczot i z całusem matki...
A głos dodał nieznany: „Niestety! poeta!“

* * *

Lecz i jesień nadeszła — i liście już więdną.
„Matulo! czemuż listki pożółkłe spadają?
Czemuż kwiateczki kwitną tylko lato jedno?
Czemuż ptaszki raz tylko za życia śpiewają?“

— „Nie, aniołku, poczekaj! znów będą na wiosnę
I kwiateczki w ogrodzie i ptaszki na drzewie —
Będą i te motylki swawolne, radosne,
Co kwiatkom dokuczają, że aż płaczą w gniewie...“

— „No, to zagraj, mateczko! Pożegnać ich trzeba!“
Więc mu matka zagrała pieśń Szopena rzewną —
A dziecko zełzawione patrzało do nieba,

Jak gdyby się tam o coś ważnego pytało...
— „Oj, te same już kwiatki nie powrócą pewno!“ —
Zerwało kwiat ostatni i tak zaśpiewało:

* * *

„Chmurka jedna po drugiéj na niebie się zmienia —
Więc ja mówię do chmurki: Chmurko! do widzenia!
Więdnie kwiatek po kwiatku wkoło naszéj chatki —
Więc ja mówię do kwiatków: Do widzenia, kwiatki!

Ach, i ptaszek odlata z pod drzew naszych cienia —
Więc ja mówię do ptaszka: Ptaszku! do widzenia!
Już i muszka nie brzęczy i nie dzwoni w uszko —
Więc ja mówię do muszki: Do widzenia, muszko!“

Zamilkło wieszcze dziecko... Słońce z za obłoku
Zarzuciło ostatnie na ziemię promienia
I zdawało się mówić: Ziemio, do widzenia!

Zamilkło wieszcze dziecko... ale w jego oku
Błyszczała łezka jedna... a Szopena pienia
Mówiły do téj łezki: Łezko, do widzenia!

* * *

Nie był to żal bezwiedny, jak dziecięce płacze —
Była to łza najpierwsza, gorzka łza poety —
W niéj się całe odbiło to życie tulacze
I wyraz jeden tylko — lecz wyraz: „niestety!“

Oj, przyjdzie ci pożegnać wśród życia podróży,
Nietylko kwiaty, dziecię!... Wszystko żegnać trzeba,
Wszystko! . bo cała przeszłość to liść zwiędłéj róży —
Bo dzisiaj — promień słońca, jutro — chmurka nieba.

Więc się uzbrój w odwagę! Strój spiżowe struny,
Bo stawisz skroń niedoli, a pierś skargom świata —
Bo lutnię twą sierocą przeszyją pioruny...

Lecz idź śmiało, bez trwogi! bo tylko po burzy
Zielona palma niebios skroń wieszczą oplata...
A on ginie jak obłok — jak liść zwiędłéj róży!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Sprawa Pawła Bromirskiego w tym czasie w sądzie apelacyjnym rozstrzygniętą została. W dniu terminu salę sądową, korytarze, wschody nawet liczne przepełniły tłumy, od warstw najwyższych, aż do roboczych, przez sympatją dla jego doli. Sąd dlań rozstrzygnął pomyślnie, wiadomość z radością zgromadzeni przyjęli — i głośne okrzyki: „Niech żyje sąd apelacyjny!“ grzmotnie rozległy się w około. Pawła Bromirskiego, na wpół omdlałego z wzruszenia, ściskano, podawano go sobie, i o mało, że go na barki nie wzięli. — Mecenasa Majewskiego — obrońcę jego — huczne spotkały wiwaty.

Paweł Bromirski, przedstawiony mi u Wójcickich, odwiedził mnie w dni parę potém — pełen serdecznéj wdzięczności dla kilku osób w Poznańskiém, które słowem, sercem i czynem szczerą i niepoślednią niosły mu pomoc.

W kilku wyrazach powtórzę tu historję jego życia tak, jak mi ją opowiedział: Niemowlęciem będąc — jako syn trzeci rodziny w obywatelstwie postawionéj wyżéj i majętnéj — oddanym został, z powodów familijnych, tajemnych, niezrozumiałych może — na wychowanie ludziom obcym... A potém był u szewca w Gnieźnie uczniem — szewczykiem!... Po latach nie pomnę ilu i jak tajemnica wykrywać się poczęła — i wtedy niektórzy obywatele Księstwa podali sierocie rękę i proces panom Bromirskim o uznanie brata młodszego i majątek wytoczonym został.

Nie znam dobrze téj całéj ciekawéj historji. Nie wiem, o ile wszystko jest prawdą — więc i w szczegóły żadne wchodzić nie będę. Ale, jeżeli tam zachodziły podrobienia jakie lub fałsze, to wszelako jest pewna, że Paweł w dobréj działał wierze, i nie kłamał w niczém.

Jeden z panów Bromirskich już nie żył wtedy. O drugim mówił mi:

— Serce moje rwie się do niego, ale on nie wie o tém, nie zna mnie wcale, nie wie zapewne, jak wyglądam. A ja chodzę za nim i patrzę na niego ze łzami w oczach i drżeniem serca. Szedłem tak raz za nim przez ulic parę. Skręcił na Leszno, wciąż idę, jak gdyby pociągany magnesem. Na ulicy nie wiele kręciło się osób... już, już chciałem, z płaczem serdecznym rzucić się jemu na szyję i zawołać: „Bracie mój! Bracie mój kochany! Nic nie chcę, tylko serca daj mi trochę!“ Ale zaszedł mu drogę pan jakiś. Przystanęli. I jam przystanął. Tamten dumnym zmierzył mnie wzrokiem, pogardliwym... może myślał, że ich chcę podsłuchać, żem szpieg.. Brat obejrzał się obojętnie, zimno... rzucił surowe wejrzenie... Pobiegłem w boczną ulicę — i o mało, żem głośnym nie wybuchnął płaczem... Serce jęczało z bólu... Och, pani! — załamał dłonie — sierota odepchnięty... ten proces... jakaż to sroga jest boleść!... A nieraz myśl się nasuwa, że to może i przeciw Bożéj jest woli!... Gdybym przynajmniéj chociaż raz jeden brata mógł uścisnąć! —

Niestety — nie uścisnął go nigdy! —

Paweł miał wtedy podobno już lat trzydzieści parę. Zbywało mu naturalnie bardzo na wykształceniu, manierach, ale zastępowała to szczególna dobroduszność, prostota szczera i prawda. Wzrostu był słusznego, dość zgrabny. Rysy miał zwyczajne, cerę zdrową, włosy płowe. Utrzymywali, że był do brata podobny.

Sprawa jego przeszła do senatu, bo rodzina Bromirskich nie zgadzała się na wyrok sądu apelacyjnego. W senacie zasiadał Płatonow. Ożeniony z Polką — jak to już powiedziałam — córką szambelana Stanisława Augusta, Nowakowskiego, dziedziczką Biłgoraju w Lubelskiém, gdzie ojciec jéj w parku kazał wystawić pomniki bohatyrom polskim: Kościuszce, księciu Józefowi, Henrykowi Dąbrowskiemu, i innym. Dzisiaj pewnie już ich tam nie ma.

Znałam panią Płatonow — a znałam ją, jako kobietę dobrą i miłą. Będąc zatém u niéj, mówiłam o sprawie biednego sieroty. Historja jego rozczuliła ją.

Późniéj — dowiedziałam się, że proces w senacie przegranym został, który Pawła od wszystkiego odsądził. Co daléj działo się z biednym? Nie wiem. Mówiono mi tylko, że w r. 1863 poległ w Lubelskiém w jednym z oddziałów powstańczych.

Na polach Raszyna stał pomnik — niewiadomo czyli tam pozostał dotąd — postawiony poległym bohatyrom w r. 1809. Zwiedziłam go w przejeździe ongi — i ze łzami pomodliłam się przy nim. — Pani Hanna Wójcicka wypisała mi w albumie wiersz z tegoż pomnika:

Matko Boga! co darem trwałych łask przez wieki
Dowodzisz nad koroną polską swéj opieki.
Gromiąc wrogów Jéj kraju, wyjednaj u Syna:
Wieczny pokój poległym na niwach Raszyna.

I przykleiła na karteczce kwiatek, który wyrósł u stóp pomnika — tak zwaną przez lud nasz kocankę, nieśmiertelnik niw polskich.

A pan Kazimierz Władysław przytoczył:

Stanisław, co nas sławy z ujmą kraju zbawił,
Janowi Sobieskiemu statuę postawił.
Koszt łożył sto tysięcy, jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan trzeci ożył.

Taki napis położył Kazimierz Sapieha na posągu Jana Sobieskiego w Łazienkach. Zachowaj go Pani w pamięci, bo wybornie maluje całą wartość Stanisława Augusta, którego późne pokolenia przeklinać będą ze wzgardą. (Ciąg dalszy nastąpi.)

NIKT MNIE NIE KOCHA.

Boże widzisz, że z prostotą,
Mówię, jak dziecko, do ciebie:
Nie o gwiazdę proszę złotą,
Ni o miejsce w twojém niebie,
Ni o ludzkich dóbr obfitość,
Ni o ziemskich pragnień sytość;
Och! nie o to, krwawo z głębi,
Dusza moja, prosząc, szlocha,
Ojcze kwiatów i gołębi,
Nikt mnie w świecie, nikt nie kocha!

Mrę tak w sobie, mrę powoli,
Serce raz po raz zaboli,
Od pragnienia zadyszane,
Zapiekłe otwiera wargi
I wskazuje ci, bez skargi,
Wołającą ulgi ranę:
Drży miłością wszechświat cały,
Dla mnie życie jak macocha;
Sprawiedliwy i wspaniały
Boże, nikt mnie, nikt nie kocha.

Szedłem dzisiaj, mrok zapadał;
Z ziemi wonie szły w niebiosy;
I srebrnemi słowik głosy
Głosom lubéj odpowiadał:
Ja bluźniłem wdziękom wiosny,
A pierś miałem pełną krzyku:
Przestań, przestań, bezlitośny,
Nikt nie kocha mnie, słowiku!

Coraz gorzéj, coraz czarniéj,
W mojéj śpiewnéj, biednéj duszy; —
Kanwa myśli od męczarni
Pęka, niby łan od suszy,
W wyobraźni barwy bledną,
Zapał w chłodny lód się tęży,
I pytałem w noc niejedną:
Kto upadnie — kto zwycięży?!

Suche słowo w ustach zgrzyta,
Pieśń straciła blask i tkliwość;
O dawniejszych wrażeń żywość
Próżno ciało duszy pyta;
W sercu, jak w wyschłéj cysternie,
Wylęgło się gniazdo węży
I przerażam się niezmiernie:
Kto zwycięży, kto zwycięży!

Zacne we mnie — w brud się mieni,
Słodkie we mnie — w kwas się kwasi,
A co we mnie jest z płomieni
Tajemniczy podmuch gasi;
I w méj pięknéj, śpiewnéj duszy
Mierność jakaś siada płocha,
Więdnę jako kwiat od suszy:
Nikt mnie, sztuko, nikt nie kocha!

Zbrzydłem twarzą, — głos mój kąsa,
W oczach wyraz tkwi złośliwy;
Ziemskie bole — boże dziwy
Dowcip mój w kałużę strząsa;
Kłuję sobą — jak krzak cierni,
A w wnętrznościach mi coś szlocha:
Odgadnijcież, miłosierni,
Że mnie nikt a nikt nie kocha!

I w téj chwili, gdy to piszę,
Zapatrzony tępo w ciszę,
Wiatr w ogrodzie bez kołysze,
Powój ściska okna ramy,
W cieniach, niby złote plamy
Pełzną żuki po trawniku,
Świat w kąpieli księżycowéj
Stoi cudny i surowy.
A w méj piersi pełno krzyku,
Wszystkie myśli, jak o świcie,
Ptastwo, pieją — drżą i żyją,
W mózgu słyszę pulsów bicie,
I do serca prądem biją,
Bez litości, bez wytchnienia:
Miłości pragnienia!...
Kwiecie! — wołam płacząc, — niebo!
Nocy! — wołam, — światła zdroje!
Złote chrząszcze i powoje!
Proszku! gwiazdo! ziemska glebo
Nędznych ludzi potem zlana!
Kocham!... kocham!...

Cicho! postać z mgieł uwiana,
Przezroczysta, słodko-blada,
Szlakiem mlecznym ku mnie spada...

Przyczesane włosy gładko;
Czarną suknią wiatr powiewa,
Białą i chudziuchną ręką
Widmo mnie do siebie wzywa:
Matko!! Snuż to mara płocha?
Czy ty jesteś! moja! żywa?!
Znika! Czekaj... matko! matko!
Matko, nikt mnie tu nie kocha!

Konarzewo w maju 1871. **Wł. Ordon.**

KRONIKA TYGODNIOWA.

— Byłem więc na koncercie Wincentego à Paulo. Było nas tam bardzo wielu, siedzieliśmy w krzesłach i po lożach, patrząc na ponurą pustkę w reszcie teatru; byliśmy ładnie ubrani i oglądaliśmy się na ładnie ubrane damy, rozmawiając o ile możności najgłośniéj — jak przystoi ludziom przyzwoitym — mającym poczucie godności osobistéj... i muzyki. — Powiadają, że duch nieboszczyka Rossiniego, egzekwowanego w téj chwili, zjawił się po nad uchem jednego z pięknych panów, gdy przemawiał, opuściwszy dolną wargę de dégoût, jak rzeźba Pompejańska. —

— Głowa mi pęka..... mówił Pan.

Duch miał odpowiedzieć grobowo:

— Signore (zdaje mi się, że powiedział Signore) widocznie masz pan głowę ciasną. —

A jednak Pesaro nie jest ojczyzną bon mot'ów.

Rzecz byłaby się skończyła tragicznie, ponieważ ciężka kurtyna, zawczas spuszczona, spadała na jedną z pań, gdyby nie poświęcenie i szybka pomoc jednego... Dalibóg, anim się spostrzegł, że pływam w pełnym stylu kurjerkowym. — A całkiem nie tak było.

Był obraz żywy — zupełnie rozczulający i jedna piosneczka polska — w proporcji do dwóch chórów niemieckich i czterech arjetek włoskich, które ja siedząc na rogu krzeseł, tuż przy scenie... z trudnością słyszałem. Bardzo lubię liberję żółto niebieską i imponujący stosunek konwersacji salonowéj do sztuki! —

Co wypowiedziawszy jednym tchem, usiadł na moim fotelu i zamyślił się głęboko.

A była właśnie ósma z rana.— Szły wozy pod wańtuchami skrzypiące, a niemieccy kupcy uśmiechając się rachowali, ile patryotycznych polskich pieniędzy przy-

pędzi im jarmark wełniany. — Bodajto wygoda — i spokój duszy!

— Dla czego tak siedzisz z twarzą karawaniarza? zapytałem mojego gościa.

— Dobrze ci żartować, wypędzają mnie z hotelu!—

— Peste! a cóżeś zrobił!

— Nie ja zrobiłem. — Pan Bóg zrobił wełnę — szatan jarmark wełniany — a mój gospodarz pięcio talarową cenę za dzień pomieszkania w swéj posiadłości przy placu Wilhelmowskim, z czego ja będę zmuszony zrobić katastrofę — pod tytułem: na bruku!

— Piekielnie! nie myślę jednak, żebyś chciał mieszkać w moim fotelu.....

— Czy go wynajmujesz?.....

Bardzo proszę! Przeciwnie! z obawy, żeby się nie niszczył, oddaję go Teatrowi Polskiemu....

— No....

— Jesteś bez przenikliwości, Eurjalu! — Narcyz Rameau oszalał, zobaczywszy niedawno w teatrze osób 95... dzie-więć-dziesiąt-pięć... Otóż masz kropkę nad i.— W skutek czego dają „Szklankę wody“, w któréj wystąpi panna Podolska!....

— Najmniejszéj loiki w tem nie widzę...

— Wyborny! Czyżbym ci mówił o tem, gdyby mi chodziło o loikę....

— Cóż więc...

— A! zamordujesz mnie z twoją passją do zapytań. — Tylko się nie chmurz! Wadę twoją podziela $^9/_{10}$ śmiertelnego świata. Na niej nawet osnuł Tygodnik Wielkopolski — pewien projekt — bardzo zabawny i nauczający!

— Cóż za.....

— Znowu! pozwólże mi się wygadać. Wiesz gdzie jest skrzynka redakcyjna?...

— Wątpię, żeby była!

— A to okropne! Mówię ci o skrzynce do listów. Nad tą skrzynką daje redakcja, — swoim kochanym czytelnikom... cały łam...

— Na?

— Na zapytania i odpowiedzi......

— Jakto?

— Najprostszym w świecie sposobem. — W miejsce szarad i zagadek, których szacunek dla majestetu rozumu ludzkiego umieszczać nam nie pozwala, dajemy miejsce na **zapytania** które nam nadesłać ktokolwiek raczy i **odpowiedzi**, które nam ktokolwiek raczy nadesłać, imiennie czy bezimiennie, we wszystkich kwestjach.

Będzie to rodzaj konwersacyjnego saloniku w piśmie — gabinecik dla rozmowy — czytelników naszych ze sobą, który z **niniejszym numerem** dla wszystkich otwieramy...

— Serjo?

— Jak najbardziéj serjo! Na dowód podpiszę się u dołu, zobaczysz....

— Bravo! idę zaraz o tem powiedzieć jednemu z moich znajomych, co ma bardzo piękne bakenbardy....

— Czekaj! — kiedy znasz już tajemnicę naszą — musisz pomagać do czynu. Proponuj teraz kwestje od których rozpoczniemy dział nowy.

— Ja?

— Ty! znaku zapytania!

— Dalibóg! to może być zabawne. — Postawcie więc najprzód trzy kwestje:

— Nuże!...

— A więc:

I. Od jak dawna trwa niesprawiedliwy ucisk Niemców przez inne narody, szczególniéj przez Sławian?

— Stój!

— Przepraszam!

II. Jakie wyścigi odbywają się w powiecie Odolanowskim?

— Cóż znowu!...

— Cicho! —

III. Co będzie robił „Tygodnik Katolicki“ na przyszłych wyborach?

— Dlaboga! Co mówisz! Nie możemy tego wydrukować.....

— Przysięgam ci, że odbierzecie tysiące odpowiedzi. — Dowcip jest przecież rodem z Poznańskiego!

— Zaręczasz, że znajdą się ludzie, mogący odpowiedzieć na powyższe kwestje!

— Daję głowę.

— Ba!... a gdyby nie!

— Sam odpowiem!

— Zobaczymy!...

— Dzień dobry!

— Co mówiąc wstał, przeciągnął się i odszedł...

A ja, mrugnąwszy parę razy oczami, ścisnąwszy zęby i wypiwszy szklankę wody, jak to widziałem u ludzi, którzy chcą przybrać poważną minę, zmarszczyłem po Jowiszowsku czoło i zasiadłem do

Kroniki Tygodniowéj.

Na dzisiaj — przeklęte słowo! myślałby kto, że chcę pisać rapsod tragikomiczny a potem się bogato ożenić, — na dzisiaj więc, kiedy już tak powiedziałem — a zecer pod przysięgą stwierdzi, że nie kłamię, brak miejsca zmusza mnie do napisania jak najkrócéj choć o kilku rzeczach sterczących z mojéj teki....

Co mi się uśmiecha najsłodziéj, od tego zacznę!...

W ciemno śmietankowéj oprawie wdzięczą się do mnie świeżo wyszłe u B. Styblówa w Pradze „Chudobky“ poezje pani „Dworákovy—Mrackovy“ książeczka o 83ch stronicach w 16ce. Mój Boże! Mimowoli zazdrość zakłuje w serce, czytając ten zbiorek poezji, z których każda, gdyby znalazła się, jakimś cudem na zwiędłych kartkach którego z naszych dzienników, okrzyk zachwytu i rozkoszy by wywołała. Tyle świeżości i woni tyle prostoty dziecinnéj a młodzieńczego w nich ognia. Jakoś mi smutno! Piękne rzeczy ci Czesi mają teraz u siebie! Na każdym z tych wierszyków jak na młodym listku, o świcie, drzy rosa jeszcze — Posłuchajcie!

Osamotniona.

Upadł w me okienko
Blady błysk miesiąca,
Jakby twarz znajoma,
W nie zaglądająca;

W zadziwieniu gwiazdy
Mrugały oczyma
Że naszéj miłości
Téj, co była, — niema;

I zaczął dąć wietrzyk
W okno, jak ze złości
Że nie słyszał dawno
Już szeptów miłości,

Zatrzęsło się serce
Tęskliwie, śród łona,
Żem jest tak straszliwie
Ach, osamotniona! —

albo:

W mem sercu...

Krwawo słonko zapadało,
Czarny je pochłonął mrok:
Krwawo serce zapłakało,
Mgłą się jasny zaćmił wzrok;

W dali warknął grom po niebie
I wstrząsł szarą ziemię całą,
A mnie serce tak zadrżało:
Jakbym spojrzał się... za siebie!

Niedawno na tych samych kartkach, zapisywaliśmy nazwisko Witosława Halka, — dziś zapoznając publiczność z imieniem poetki czeskiéj i dając próbkę jéj talentu, chcemy braciom naszym Czechom, do których pismo nasze dojdzie, dać świadectwo miłości i zajęcia, jakie ruch ich szczepu w nas budzi. — Czytelnikom Tygodnika obiecujemy choć kilka przekładów z pięknéj książki słowiańskiéj, którą niestety! nie wszyscy u nas jeszcze zrozumieć mogą!...

— Pan jesteś bardzo cyniczny i realny, czekam tylko aż pan utyjesz, ażeby z wszelką słusznością nazwać cię Geschäftsmanem.

Tak mówiła pewna wielce utalentowana i piękna, co jeszcze więcéj znaczy, pani, niedawno do sługi Waszego.

Chciałbym, ażeby sentymentalna apostrofa moja (patrz u góry) wpadła pod jéj cudne o czarnych długich rzęsach oczy. Musiałbym dojrzeć w nich takie osłupienie — jakiego nigdy jeszcze jéj ruchliwa twarz nie malowała....

Nie pamiętam, com odpowiedział wtedy — ale słodko mi jest, że zakończeniem téj kroniki w umyśle wszystkich romantyczno politycznych ludzi się zgubię i utwierdzę opinię w powziętem raz mniemaniu o mojéj... pozytywności!

Na przyszłorocznéj wystawie płodów, np. w Kościanie, dostanę pierwszą nagrodę — za ciekawy okaz ekonomiczno-przemysłowéj ospy Wielkopolskiéj — zaszczepionéj na importowanym mózgu.... jeżeli nie dostanę nagrody za wyuczenie się czterech punktów, które wsławiły powyższe miasto.

Chcę bowiem zakończyć wzmianką o kursach teoretycznych dla Techników Gorzelanych, otwartych z dniem 3 czerwca r. b. Wyręczmy się specjalistą:

„Na kursach tych kształcą się praktyczni gorzelani i elewi gorzelniczy w teorji swego fachu. Przedmioty wykładowe są: chemia, fizyka, teorja praktycznego gorzelnictwa, chemia fermentacyjna, budowa aparatów i dystylacja, budowa maszyn (mechanika gorzelnicza), rysunki i rachunkowość. W czasie wolnym od wykładów uczniowie pracują pod przewodnictwem dyrektora Mardfelda w laboratorium, w warsztatach i t. p. i robią wycieczki do okolicznych gorzelń. — Wykłady są popularne i przystępne dla mniéj wykształconych słuchaczy. — Kursa te urządziło pierwotnie tutejsze Tow. Politechniczne pozostające pod przewodnictwem p. Radcy rejencyjnego, Wernecking'a, a w roku 1869 oddało je nowo utworzonemu Towarzystwu Techników Gorzelniczych, które rok rocznie kursa te dla swych kolegów fachowych otwiera, gdyż jednym z głównych celów tego Towarzystwa jest wzajemne kształcenie się. Nazwiska profesorów biorących udział w wykładach dostateczną są rękojmią pożyteczności tego przedsięwzięcia, a wzrastająca liczba słuchaczy najlepszym dowodem, że ono swemu zadaniu odpowiada. W roku bieżącym wykładają w tych kursach: p. Professor Szafarkiewicz i p. Dęby chemię; p. Dr. Wituski fizykę, p. Dyrektor Mardfeld teorję praktycznego gorzelnictwa, chemię fermentacyjną i budowę aparatów i dystylację; p. Szenic mechanikę gorzelniczą i t. d.

Na kursa te przyjmują się tylko praktyczni gorzelani albo elewi gorzelniczy, którzy przynajmniej jedną kampanię gorzelniczą praktycznie już odbyli."

Gorzelniani więc odbywają teraz kampanie!...

Mój Boże! co téż to na świecie się nie wyrabia!

Władysław Ordon.

Korespondencja ze Lwowa.

Lwów 5 czerwca 1871.

Pozwólcie mi w waszem piśmie odpowiedzieć na uwagi waszego korespondenta z Krakowa w sprawie p. Dobieszewskiego. Sprawa ta bowiem jest trochę ogólniejszą, niż się waszemu korespondentowi zdaje. Koresp. wasz znajduje zupełnie racjonalnem, że p. Dobieszewskiemu kazano odbywać dwuletnie studja na wydziale lekarskim w Krakowie, a przeciwnie uważa nieracjonalnem żądanie rady powiatowéj Kamionki Strumiłowéj, poparte przez wydział krajowy, która, o ile sądzę z korespondencji, bo petycji téj nie znam, domaga się usunięcia tych trudności, stawianych dla lekarzy emigrantów.

Rzecz się tak ma. Pan Dobieszewski ukończył swe studja lekarskie na uniwersytecie moskiewskim i otrzymał stopień lekarza, zupełnie równoważący stopniowi doktora medycyny na innych uniwersytetach, potém praktykował w Warszawie przez lat kilkanaście, napisał wiele rozpraw lekarskich i był naczelnym redaktorem pisma lekarskiego: Klinika. Czyż p. Dobieszewski nie może być równie pożytecznym lekarzem w Galicji? a to chyba że żołądki galicyjskie inaczéj zbudowane, jak u innych naszych rodaków. I panu D. nawet nie pozwalają składać egzaminu doktorskiego w Krakowie, ale wymagającą, aby na stare lata ponownie odbywał kursa uniwersyteckie. Korespondent wasz mylnie twierdzi, jakoby p. D. nie słuchał: anatomji patalogicznéj, medycyny sądowéj i policyjnéj. Przedmioty te są obowiązkowe na wszystkich uniwersytetach moskiewskich, i p. D. nie mógł ich nie słuchać, gdyż inaczéj nie otrzymałby stopnia lekarza.

Krzywda, jaka się dzieje wykształconym naszym lekarzom z pod zaboru moskiewskiego, przybywającym do Galicji, jest zarazem krzywdą dla téj prowincji, bo pozbawia ją najlepszych sił lekarskich i jest kwestją zasługującą na lepsze jéj poznanie.

Na uniwersytetach moskiewskich jest następujący porządek przy otrzymywaniu stopnia po ukończeniu nauk uniwersyteckich. Po ukończeniu studjów składa się egzamin i otrzymuje się stopień kandydata albo rz. studenta. Kto najlepiéj złoży egzamin, otrzymuje stopień kandydata. Posiadający stopień kandydata ma tylko ten przywilej, że może ubiegać się o stopień doktora, więc téż nikt tam tak bardzo kandydatem być nie pragnie, gdyż rz. student może zajmować wszelkie posady, tylko nie może być profesorem uniwersytetu, dopiero kandydatowi to prawo przysłuży. Dopiero posiadający stopień kandydata ma prawo po wykazaniu, iż po otrzymaniu stopnia kandydata studjował na innych uniwersytetach krajowych lub zagranicznych swój przedmiot przez lat 3, składać egzamin na magistra, a następnie po 3ch latach służy mu prawo doktoryzowania się. Dla otrzymania więc stopnia doktora tam potrzeba wykazać się przynajmniéj dziesięcioletniemi studjami uniwersyteckiemi i złożyć kilkakrotnie egzamina. Ztąd pochodzi, że tam doktorów prawie nie ma, a ci jacy są, są rzeczywiście ludźmi uczonymi, pracającymi wyłącznie nad nauką, gdyż dla ludzi innych zajęć zabawka ta w doktoryzowaniu się jest wcale nie w miejscu i nikt o tém nie myśli. Tu w Galicji, jak zresztą i w ogóle na zachodzie, gdzie każdy po czteroletnich studjach uniwersyteckich otrzymuje stopień doktora, jest taka masa doktorów, iż naprawdę nie umiałbym orzec, czy więcéj tu jest doktorów, czy téż hrabiów?

Inaczéj jest na wydziale lekarskim na uniwersytetach moskiewskich; nasamprzód kurs pięcioletni, a po ukończeniu takowego składa się egzamin albo wprost

na doktora albo na lekarza, pierwszy jest trochę ostrzejszy, bo daje prawo zajęcia katedry w uniwersytecie — ale kto się zapisze na lekarza, chociażby najświetniéj złożył egzamin, nie może otrzymać stopnia doktora, jak znowu, kto składa egzamin na doktora, jeżeli mu ten stopień nie zostanie przyznany, to musi zdawać egzamin na nowo na stopień lekarza. W każdym razie na doktora nikt bez potrzeby nie zdaje egzaminu, gdyż dowodziłoby to tylko próżności, któréj unikać należy ludziom wykształconym.

Owóż nikt nie potrafi dowieść, aby otrzymujący stopień doktora w Krakowie po 4ro letnich studjach znał medycynę lepiéj od lekarza z moskiewskich uniwersytetów. Jeżeli ten lekarz udał się do Paryża, to tam było mu dozwolonem albo zajmować się praktyką natychmiast, odejmując wszakże przywileje doktorskie, albo téż natychmiast miał prawo składać egzamina doktorskie (n. b. Polak bezpłatnie) — jeżeli zaś kto otrzymał stopień lekarza na uniwersytecie moskiewskim, udał się potém do Paryża, złożył tam doktorskie egzamina, studjował jeszcze lat kilka i zajmował się praktyką, a następnie chce przyjechać do Galicji, to tu nietylko obowiązany jest jeszcze raz do Krakowskich egzaminów, ale mu wprzódy każą przez dwa lata słuchać kursów Krakowskich! — Jestże w tém sens? jestże sprawiedliwość? I czy nie lepiejby było, gdyby w Galicji było mniej doktorów a więcéj l u d z i? Ztąd to pochodzi, że tyle z dobrych i znakomitych lekarzy naszych przebywa w Paryżu, we Francji, w Turcji, Anglji, Ameryce, a nie mogą przyjechać do kraju, bo gdyby naprzykład niedawno zmarły dr. Raciborski, którego naukę wysoko ceniono w sferach uczonych europejskich, chciał przyjechać do Galicji, toby mu kazano słuchać przez lat dwa krakowskich kursów i jeszczeby uważano to za dobrodziejstwo że tylko do dwuletnich, a nie do czteroletnich kursów go zmuszają.

Wybaczcie, że tak obszernie się rozpisuję, ale chciałbym przyczynić się do wyjaśnienia téj kwestji, któréj tu pojąć nie chcą i dla jakichś parafjańskich interesów poświęcają tak pojedyńczych ludzi jak i dobro ogólne. —

Rozpoczęło u nas wychodzić nowe czasopismo literackie p. t. G a z e t a l i t e r a c k a, — jest to współrywalka W o l i.

Narzekamy na obojętność publiczności dla literatury i w ogóle dla oświaty i narzekamy słusznie, w Galicji bardzo mało jest publiczności przeczuwającéj potrzebę pokarmu umysłowego, a i ta jest tak wymagającą, tak nadąsaną, że się tak wyrażę, iż trudno a właściwie niepodobna jéj dogodzić. Gdyby wszystkie znakomitości całego świata składały się na pismo dla Galicji i gdyby to pismo było rozdawane darmo i tak by jeszcze prawie niezadowolniło. Jest to fenomenem, jeżeli u nas ktoś prenumeruje pismo przez rok cały, najczęściéj się ogranicza na jednym kwartale i daléj już daje za wygraną, uważając notabene, że to nie on robi krzywdę literaturze a zawód wydawcy, ale że wydawca powinien mu być wdzięczny za jego poparcie, jakie swoim guldenem czy dwoma guldenami przyczynia. Takie dziwne wyobrażenia! Ale cóż robią literaci i wydawcy, aby oświecić publiczność, wyprowadzić z tego obłędu? Nic nie robią. Oto w r. 1870 wychodziło w Galicji pism literackich 6: K a l i n a, K w i a t y, S t r z e c h a, M r ó w k a, D z i e n n i k l i t e r a c k i, J u t r z e n k a i z tego pozostała tylko jedna S t r z e c h a wydawana jeszcze z wielkiemi stratami przez przedsiębiorczego księgarza F. H. R i c h t e r a. Fakt podobny powinien był sprowadzić zastanowienie w pp. literatach, powinni byli pomyśleć przecie, jakich należy się użyć środków dla ratowania t a k p r z e r a ż a j ą c o n i k n ą c e g o z a m i ł o w a n i a d o c z y t a n i a. Gdzie tam, zaczynają jeden za drugim probować: a nuż ja potrafię dokazać cudu! powstała W o l a i niezdołała jeszcze zebrać 20 czytelników, kiedy już doczekała się rywalki w G a z e c i e l i t e r a c k i é j, która, bodajbym był fałszywym prorokiem, nie będzie miała o połowę tych czytelników, a upadek tych dwuch pism, a może i jeszcze jakie powstaną i upadną, doda publiczności otuchy do rezonowania, że nie może przecież prenumerować pism, bo te upadają ciągle. A nawet rezonowanie to będzie poniekąd słuszne, skoro wydawcy bez zastanowienia na chybił trafił ogłaszają prospekta, na które daje się łowić jeszcze ta garstka czytelników, która bądź co bądź chce popierać każde usiłowanie podniesienia oświaty*).

Jedno, czegoby wymagać należało od naszych czytelników, aby pisma mogły egzystować, to, aby czytelnicy byli akuratni, niech ich będzie mało, ale niech wydawca wie, że ma stałych czytelników, którzy w swojéj porze przedpłatę odnowią. Bez tego nigdy żadne pismo w Galicji utrzymać się nie będzie mogło. —

Karol Widmann już jest zupełnie zdrów. — Wiadomość przez was podana o śmierci Tadeusza Komara zdaje się być mylną, przynajmniéj przyjeżdżający tu z Multan twierdzą, iż Komar żyje. †

*) Redakcja Tygodnika Wielkopolskiego nie podziela zdania Szanownego Korespondenta w tym względzie; na téj bowiem niwie nigdy zanadto pracowników.

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

(Dalszy ciąg.)

Scena XI.

Scholastyka — Andzia (zaraz Feliks).

Andzia. Bogu dzięki że się tak skończyło!... Ah! żeby Ciocia wiedziała jak mnie boli ta niechęć do ojca!....

Scholastyka. To niektóre próżniaki, pijanice, mieszczany tak rozżarzają do złości, za to że ich pan brat sprawiedliwie jako prezydent rozsądzał! Intryga bardzo podobna do spisku baronów w romansie...

Andzia. Tak, to pewno... ale... (ciszéj) ojciec nie tak kocha ojczyznę jak powinien...

Scholastyka. Moja kochana! takich jak twój ojciec zawsze więcéj było i będzie!... to słuszny obywatel!...

Feliks (za drzwiami z prawéj strony.) Można?

Andzia (żywo.) Można!... można!... papa wyszedł!...

(wchodzi Feliks w mundurze ułańskim).

Feliks. Chciałem się paniom w mundurze pokazać!...

Andzia (z uwielbieniem). A... a... a!...

Scholastyka. Jako rycerz w stalowéj zbroicy żegnający damę swych myśli... w każdym romansie....

Andzia (obchodząc w okół Feliksa.) Moja Ciociu! jak to ślicznie!... jak to pięknie!... (klaszcze w dłonie) aż serce skacze!... panie Feliksie doprawdy!... nigdy... (zatrzymuje się i oczy spuszcza).

Feliks (biorąc jéj rękę.) Co nigdy?... co?...

Andzia. Tak pana... nie... nie ko... mniejsza o to.. niech godność panieńska cierpi... otoż powiem.... nigdy pana tak nie... koch... nie lubiłam...

Feliks. O! panno Anno!....

Andzia. Zawsze byłeś pan tylko dobrym panem Feliksem... dziś jesteś obrońcą ojczyzny! Inaczéj pan wyglądasz!...

Feliks. Oh! jak to dobrze, że tak myślisz!... (całuje jéj ręce i mówią cicho).

Scholastyka (n. s.) Sceny takie niezgadzają się niezawodnie z pojęciami o godności panieńskiéj, ale... w takich chwilach w czasie insurrekcji.... sama nawet czysta Heloiza!... Ale widok ten rozburza moje humory!...

Andzia. A wié pan o naszém zmartwieniu?...

Feliks. Zmartwieniu?... nic a nic...

Andzia. Papę na gwałt wołają do wojska...

Feliks. Być nie może!....

Andzia. Właśnie poszedł zastępcy szukać!.... (słychać kroki) Wraca... wraca!... uciekaj pan!...

Scholastyka. Prędzéj.... prędzéj.... straszna odpowiedzialność!... (Feliks który na głos Andzi pobiegł na prawo znajduje drzwi zamknięte.)

Feliks. Klucza!... klucza!...

Andzia. Ciociu!... klucza!....

Scholastyka. A nieszczęście drzwi się zatrzasnęły!.... klucz tam został!..

Feliks. Co robić!...

Andzia (porywa go za rękę i stawia za firankę we drzwiach na lewo.) Tu pan stój... Ciociu!... ciociu!... niech Ciocia tu siądzie, bo ostrogi widać!...

Scholastyka. Ależ Andziu!..... zasłaniać kawalera!.... godność!... kompromitacja....

Andzia. No... no... godności nic się nie stanie!.... Nikt Cioci nieposądzi!...

Scholastyka (siadając.) Wreszcie.... wreszcie... Ulegając sile wypadków (n. s) prawdziwie romantyczny wypadek...

Scena XII.

Ciż sami — Lichocki — Zawadzki.

Lichocki (blady wspierając się na ramieniu Zawadzkiego.) Zgubiony jestem... stracony... nieprzymierzając... nie ma mnie już!....

Andzia. Cóż to jest! panie rotmistrzu!

Zawadzki. Musi być, nie można dostać zastępcy!...

Scholastyka. Mówiłam że o zdrowych i krzepkich trudno w tém pokoleniu...

Lichocki. I ja muszę iść na mustrę... muszę maszerować... nieprzymierzając, pod komendą rzeźnika!...

Andzia. I niema na to rady? panie rotmistrzu!.. pan przecież....

Zawadzki. Musi być że niema... Żeby co było można, to ja rotmistrz, którego pan Kościuszko kocha, jak brata, musi być, zrobiłbym najprędzéj.... ale trudno! na obywatela Lichockiego całe miasto intryguje... bez zastępcy, musi być, pójdzie pod karabin...

Lichocki (rozpacznie.) Słyszycie!... słyszycie!... pójdzie się bić!... Mój Boże!... mój Boże!... czym ja zasłużył na to! pójdzie... pójdzie... pomaszeruje... w dyrdy za panem Dutkiewiczem... Na co to człowiekowi na starość przyszło!..... Prezydenta Lichockiego, nieprzymierzając, gdzie bądź zabiją.... zakłują.... (płacze).

Andzia (klękając przy nim.) Ale uspokujcie się ojczulku...

Scholastyka. Jakaż to tragiczna boleść dręczy pana brata!....

Zawadzki. Ciężkać to ofiara musi być... aleć to obywatelska rzecz dla ojczyzny!...

Lichocki. Dla ojczyzny!... dla ojczyzny! oh!... wiem!... ja... ja... bardzo!.... bardzo kocham!.... ojczyznę nieprzymierzając... ale (wracając się do Zawadzkiego) No, powiedz mości rotmistrzu, co mi nieprzymierzając po ojczyznie, jak mnie gdzie zagałuszą?....

Zawadzki. Tak.... to niby.... ale musi być... hum!.... obowiązek!... z wolą Bożą, musi być, zgodzić się trzeba!...

Lichocki (energicznie.) Nie!... nie!... to niemoże być!.... ja w życiu swojém nie strzelałem!...

Zawadzki. Ordynans komissji wyraźny, a ksiądz Kołłątaj musi być nie żartuje....

Lichocki (zbity z tropu.) Prawda!... prawda!... Księdza Dziewońskiego ścięli przed szarą kamienicą..... (z płaczem) Mój Boże!... mój Boże!... na co ci to panie prezydencie przyszło!... (składając ręce) Matko Boska! Wszystkobym, nieprzymierzając, oddał teraz za zastępcę tego!...

Feliks (wytykając głowę z za firanki.) Wszystko? (ogólne zdziwienie).

Lichocki (niepoznawszy.) W imię ojca i syna!... panie żołnierz! czyto po mnie?... (udając śmiech) Może winka... taburecik...

Andzia. Ależ to pan Feliks, proszę papy!... (Feliks wychodzi).

Scholastyka (n. s.) Biada mi!.... skompromitował mnie niewdzięcznik.... na wieki wieków... oh! jakież uderzenie do głowy!......

Lichocki. Co to jest?... Zkąd ten mundur, nieprzymierzając!....

Feliks (wychodząc naprzód). Pan dobrodziéj szuka zastępcy do wojska!...

Lichocki. A szukam!... szukam!...

Feliks. Ja miałem zaciągnąć się jako ochotnik... a tak mogę być zastępcą pana!...

Lichocki (rzucając się mu w objęcia.) Co?... co?... Zbawco mój dobrodzieju!...

Scholastyka. Jakie to wzniosłe!... łzy czuję w oczach!...

Andzia (n. s.) Żeby aby skorzystać z tego!...

Zawadzki. No widzisz obywatelu!... Masz, musi być, zastępcę i jeszcze jakiego!....

Lichocki (ciągle go ściskając.) Poczciwy mój!... drogi panie Budzyński!....

Feliks. Za pozwoleniem, ale pod warunkiem...

Andzia (n. s.) A przecież!...

Lichocki. Pod warunkiem?...

Feliks. Powiedziałeś pan, że zastępcy dałbyś wszystko...

Lichocki. Tak!... ten... tego... nieprzymierzając... powiedziałem.... w rozpaczy.... w rozpaczy!... ale widzisz panie Feliksie ja człek ubogi!..... zrujnowany......

Feliks. Poczekaj pan!...

Zawadzki. Przecie darmo, musi być, nie pójdzie za obywatela....

Lichocki. Pan Dobrodziéj przecie taki zamożny obywatel!... biednego człeka zdzierać nie zechce... nie ..ja straciłem urząd... straciłem!... jak Boga kocham!... (ściskając go) Ja cię tak kocham panie Budzyński!... zmiłuj się nademną!.... nie rujnuj mnie!.... (pate-

tycznie) A potém toć bić się będziesz za kochaną ojczyznę!... Za to pieniędzy brać się nie godzi!...

Feliks. Ależ ja od jegomości ani grosza niechcę!...

Lichocki. Ani grosza!... a! wiedziałem! wiedziałem o tem!... (patetycznie.) To bohater! nieprzymierzając!... pójdzie się bić z ochoty za ojczyznę!... bez interesu!....

Feliks. Przepraszam... tak znów nie... pieniędzy niechcę, ale jako warunek zastąpienia pana, żądam, żeby panna Anna moją żoną została jeszcze przed wyjściem w pole!....

Scholastyka. A wyprawa! a zapowiedź!...

Andzia (cicho do Feliksa.) Dobrze!... bardzo dobrze!...

(Dokończenie nastąpi.)

Z ZAPISKÓW KOLEKTORA.

Miałem przyjaciela; było mu na imię Albin. Najpoczciwsza dusza pod słońcem, — natura bogata i pełna materjału na genjusz; szkoda, że urodził się zapóźno! Średnie wieki byłyby czasem najwłaściwszym dlań. — Wiecznie zapominał o warunkach otaczającego go żywota. Zdawało mu się, że jeszcze po cienistych gajach, przez drogi pełne wyrwisk, przecięte lasami dziewiczemi, w pośród jaskiń zbójeckich — ze złotą lutnią w ręku błądzą jasnoocy minstrele, że po taflach chłodnego portyku szeleści jak dawniéj jedwabna szata kasztelanki, idącéj na mszę, z bogato brylantowanym psałterzem w ręku — a u drzwi, przy chrzcielnicy, hardy kawaler, prawą ręką oparty na rycerskiéj szpadzie, — lewą, ruchem pełnym galanterji, święconą wodę jéj podaje. W kościołach słychać hymn majestatyczny organów, dotykanych ręką Pergolesego lub Cimarosy a po drodze od gotyckiego na wysokiéj górze klasztoru, mnich na osiołku, pomiędzy ubogi lud na wsie zdąża. Po zapukaniu gościa otwierają się na ścieź gościnne chaty — granatowy owoc, dla wszystkich, z łaski Bożéj, nad spragnionemi ustami wędrowca się zwiesza — a Poezja i Wiara płyną ręka w rękę nad światem, — pod niebem wieczyście błękitnem. Pędziły te złudzenia biedaka z miejsca na miejsce. Szukał okolicy na całéj ziemi, coby dać mogła jego płucom odpowiednie powietrze. Urodzony nad brzegami Wisły, u białéj piersi syreny — Warszawy — zaszedł aż nad Wartę — do przesławnego grodu Wielkopolski — i tu go poznałem Niestety! Nigdzie nie znalazł, czego szukał. Drogi i góry były zniwelowane. — Lasy wyrąbało przysłowie: nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las; — przeminęli jak cienie hardzi rycerze i wysmukłe kasztelanki — a Kredyt i Kapitał szły przez ziemię — obserwując się zyzem, pod niebem od dymu fabryk zakopconém. Biedny szaleniec! w sercu Wielkopolski, w Poznaniu, znalazł największego wroga swego, tronującego bez podziału: realizm. Nie mogłem śledzić za jego życiem. Mówiono, że z rozpaczy rzucił się głową naprzód — w miłość — że został narzeczonym... że spozytywniał w sposób przeraźliwy — to pewna, że obecnie mieszka bezpłatnie w Owińskach — gdzie karjery swojéj domierzył. Dziwny ma rodzaj warjacji. Uroił sobie, że w jakiś dzień głodny i rozpaczliwy Towarzystwo Bezpłodności Literackiéj w Poznaniu, zrobiło go kollektorem akcji jednego ze stu pism projektowanych. — Pod ciężarem téj misji wzdłuż i wszerz zjechał Poznańskie i ulokowawszy niezliczoną ilość owych akcji, założył bióro nowéj Redakcji — w domu, gdzie mieszka obecnie. Znalazłem w szufladzie jego stolika coś nakształt luźnego pamiętnika — przygodami podobnego do historji nieboszczyka kawalera z Mauszy. Dla nieocenionych szczegółów lokalnych postanowiłem zużytkować to arcydzieło. Ładu ani prawdy co do miejsc i osób w tém nie pytać! — inwencja jednak — ogromnie ciekawa.

7 godzina wieczorem.

Wyjeżdżałem nareszcie. Wszystkie pożegnania odbyłem, rozdałem co niemiara uścisków i przyjacielskich uderzeń w ręce, zjadłem z rozczulającem namaszczeniem ostatni beefsteak u Liedkiego — zostawiłem przededrzwiami doróżkę i pobiegłem po moje tłomoczki na strych, do siebie...

Pierwszy raz zabierałem się w taką podróż. W pokoju było ciepło i cicho. Zegar tykotał systematycznie — pomarszczona, jak jabłko pieczone, twarz mojéj gosposi, zaglądała z uśmiechem przez uchylone drzwi od sieni; w kuchni skwierczały na patelni żałośliwie i drażniąco jakieś — wursty.

Proza i spokój mieszczański otaczały mnie w około, a ja puszczałem się w najbardziéj awanturniczą z wędrówek!

Na dworze sypał śnieg na poły z gradem, zdawało się, że szyby poprzecina; — na całéj przestrzeni widnokręgu dachów, — sterczących przed oknem méj mansardy, widziałeś jeno morze śniegów, gdzieniegdzie splamione wystającą z niego żółtawo-czarną wysepką komina, z któréj bure dymy pięły się słupem ku niebu. Mróz był trzaskający. Przypomniała mi się zima Gawarniego czy Kostrzewskiego — dali bóg nie pamiętam: na płaszczyznie pustéj, zasypanéj śniegiem, dwoje dzieci obciążonych chrustem — przed niemi majacząca we mgłach wieża wiejskiego kościołka, za niemi las iglasty, ponuro migający kryształami sopli. Mrok pada i wiatr wyje, że aż strach. I ja to miałem oglądać wnet podobne krajobrazy! Kto wie czy w pośród lodów i śniegów losy Lapérousa i Franklina nie przetną pasma dni moich. Spojrzałem tęskliwie przed siebie. Sybirskie futro i siedmiomilowe futrzane buty sączyły balsam zaufania i odwagi w moje serce.

— Czy wolno?

— Proszę, odpowiedziałem.

Miss Fanny jest subretka, jakich mało. Brunetka, z niebieskiemi oczyma, ukradzionemi u najpiękniejszéj z norymbergskich lalek; ma ten sam wzrost, co jéj pani, tęż samą kibić, mniej szlachetną trochę i zbyt wydatny gors, — zresztą do złudzenia aż do turniury i głosu, podobna wszystkim paniom, u których była kiedykolwiek pokojówką. Miss Fanny, jest bowiem bardzo kapryśna i miała już wiele pań. Szczególniéj ma odrazę do wieczorków literackich, — nie potrafiłem nigdy zbadać dla czego.

— Czy wolno — powtórzyła figlarnie we drzwiach.

Drgnąłem cały. Zdawało mi się, że słyszę głos jéj pani — drogi głos! Nieporównana subretka wdzięcznie wyciągała do mnie rączkę w mitenkach, trochę za wielką rączkę — jedyny znak plebejskiéj rasy. W ręce był bilecik...

Porwałem go gorączkowo. Pamięta więc o mnie! przemknęło mi po krwi i mózgu. Bilecik miał formę zwyczajnego listu i do tego był na papierze — linjowanym, — siliłem się na przypomnienie podobnéj formy, w którym ze znajomych mi romansów — naprożno!

— Ona taka oryginalna zawsze, pomyślałem.

„Mój drogi przyjacielu“

Przesyłam ci dowód mojéj pamięci na podróż. Jeżeli zań nie uczujesz najgłębszéj wdzięczności ku mnie — to widać cnota ta nie jest mieszkańcem, naszéj biednéj ziemi. Drżę na myśl, co cię czeka! Za żadne w świecie skarby nie poszłabym teraz nawet na Szelą-

żek, — a ty?! Bądź ostrożny i okryj się dobrze. Pamiętaj, że jestem o dwa miesiące starsza od ciebie. Do widzenia! Brrr! Musi być ze dwadzieścia stopni mrozu.

Anna“

Fanny trzymała coś w wyciągniętéj ręce. Spostrzegłem dopiero, że przyszła z paczką pod salopą.

Moje nożyczki zgrzytały, próżno probując napocząć sznurek na pakiecie — przegryzła go Fanny ząbkami.

— Co to jest! zawołałem.

Przedemną leżały na stole: pudełeczko z pastylkami na kaszel — mappa Kurnatowskiego i.. purpurowy, — wyszyty z przodu, czarnemi sznureczkami, z rzędem guziczków, jak śnieg białych — kaftanik flanelowy.

— Pani kazała oddać to panu: pastylki są doświadczone — a kaftanik bardzo ciepły i elastyczny.

Spojrzałem na subretkę. Miała najnaiwniejszą pod słońcem minę!

— Pani tak troszczyła się o pana, dodała.

O Wielkopolsko! jęknąłem.

Słuchałem w osłupieniu jak szczęknęły drzwi za Fanny, jak stukały jéj obcasy po schodach i szeleściła miarowo sukienka i uśmiechałem się gorzko!

— Toż to miłość, brzęczało mi szydersko w mózgu, pięć miesięcy straconych westchnień i nieugaszonych płomieni po to, ażeby w końcu, na progu śmiertelnéj może podróży — flanelowym kaftanikiem być pożegnanym. Toż-to miłość. Horror! Kupido we flaneli! Gdzieindziéj, — pod jasnem niebem Warszawy — nie tak mówią serca dziewicze. Bilecik — wonny od westchnień, które mu powierzono — kawałeczek wstążki lub pukiel włosów, oto byłyby narzeczonéj dary. Tutaj!...

— Niech pan weźmie ze sobą ten szalik — sama wełna — weź pan — najgorzéj szyję zaziębić, rzekła mi, uśmiechając się dobrotliwie pomiędzy zmarszczkami i podając coś nakształt kołdry, którą spieściła na szalik, moja gospodyni...

— Dla Boga! daj mi pani pokój, krzyknąłem. Odsunęła się zasmucona i zwróciła ku drzwiom.

Naraz zaszła we mnie dziwna reakcja. Podbiegłem do staruszki i wydarłszy jéj z rąk ową kołderkę, ucałowałem ją serdecznie. Czułem łzy w oczach.

— O święte macierzyństwo we wszystkich uczuciach, o nieporównana prostoto i trzeźwości serca praktycznych kobiét, — zawołałem cisnąc namiętnie do ust kaftanik flanelowy i oblewając mappę łzami, — jakżem ja was niegodny!

Nie wiem jak daleko byłbym zaszedł w filozoficznych refleksjach nad różnorodnemi objawami uczuć, gdyby nie doróżkarz.

Był to dobroduszny człowieczek; rumiany, o sążnistym rudym wąsie, teraz zmienionym w bryłę lodu.

— Co pon sobie myśli — rzekł mi mrucząc, — czekom pół godziny — za darmo — a mrozisko szczypie!

— Przepraszam cię, odrzekłem czule.

— No, no! nie szkodzi — zapłaci pon dubelt i basta — a teraz niech się pon rusza.

Ścisnąłem zęby i porwałem za tłomoczek. Poczciwiec ów mówił bardzo słusznie i to, akcentując wedle najściślejszych przepisów X. Malinowskiego.

Pociąg sapał i gwizdał rozpaczliwie, kiedyśmy przybyli. Ledwom się dorwał do biletu trzeciéj klasy. Wpadłem na perron. Schaffner beknął coś po niemiecku i najdelikatniéj w świecie wziąwszy mnie za plecy, całym ciężarem ciała rzucił na suknie, pudełka i na nogi moich poprzedników...

— A niech cię! Aj! aj! aj! syknął ktoś, odpychając mnie na drugi róg wagonu.

Pociąg szedł i rozpędzał się coraz bardziéj...

Obejrzałem się ogłuszony. Wóz był napchany. Przy oknie od wejścia siedziała figura wąsata, z wystającym mocno orlim nosem i siwemi oczyma. Mąż ten żuł rozpoczęte przed chwilą przekleństwo na moje przybycie i dmuchając trzymał się za nogę. Jedyne miejsce zostawało mi pomiędzy parą — jak przypuszczałem — małżonków, we środku. Wpakowałem się, wbrew wszelkim prawom fizyki, i odetchnąłem swobodniéj. Mąż z orlim nosem mierzył mnie bazyliszkowemi oczyma. Naprzeciw niego, przytulona do kąta siedziała jakaś dziewczyna. Przy ostatnich blaskach gasnącego dnia widziałem ogromną torbę, eltkową salopkę i jedwabne czarne rękawiczki. Niedźwiedzie futro jegomości vis à vis, pysznie szerokie, spadało na jéj nogi. Wyraźnie zabierała się do snu, bo oczy miała przymknięte a głowę opartą o ścianę. Spojrzałem na moich sąsiadów. Mąż miał Mikołajowskie faworyty i futrzany worek na nogach i pachniał pomadą; żona, z maleńkim wąsikiem nad wierzchnią wargą, pachniała rumiankiem — naprzeciw mnie siedzący chłopczyk, jak się późniéj dowiedziałem, latorośl ich rodu, wydawał z siebie woń rumbarbarum. Miałem całą aptekę koło siebie. Nie wiem jakim sposobem, nieznacznie, przez dziwny zwrot myśli, stanąłem pamięcią w owych czasach, gdy dobry p. Belot nasz sąsiad na Chłodnéj ulicy, nad moździerzem zatłuszczony i woniejący cały z łagodnym uśmiechem w rumiane wargi wpychał nam pastylki miętowe... Zdawało mi się, że znowu widzę szereg rądli i retort w jego laboratorjum — że słyszę szelest spadających w dystylarni kropel, — że mam białe majtki i czarną kędzierzawą główkę!..

— Ach jakże lubię pastylki miętowe, szepnąłem mimowoli, jak przez sen...

— Mogę pana służyć, — krzyknął ktoś przy mnie z pełnych płuc... fistułą.

Drgnąłem i wypatrzyłem się w stronę głosu.

Wysoki mężczyzna, około trzydziestoletni — z przedługą twarzą, z parą świdrujących, czarnych jak pikowe asy oczu, z przewieszonym sac de voyage'm przez plecy — wyciągał do mnie kościstą, zdobną herbowym sygnetem rękę. W ręce była tutka papierowa, napełniona pastylkami...

— So! gut, richtig! Pan ma ta sama gusta co i ja! Peste... Zie vous en prje. Nie można wytrzymać z gęba bez tego cukierek. Slodka co jest, jest smaczno. Corpo di Bacco! We Wlochach nabylem taki coutume do slodkoście i salate, co żyć bez temu nie mogę! We Wlochach — te Lazzarone — nix fleisch — sama makaroni a ny w rosól, ale tak samotny, bez palec.

— Jakto, bez palec? zapytałem osłupiały.

— Na nu, mit dem Finger — Avez une puce — comprenez vous — z palsa.

— Rozumiem, palcami — rzekłem roztapiając w ustach pastylkę.

— Ja, palsami... Eh ben... Ale nie wprost co kupuje i zjada — ino Pape pontifical benedykuje a dopiero on peut mangiare..

Zciemniało się coraz bardziéj...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skrzynka do listów.

Pannie B... M... w Poznaniu, dr. Olendzkiemu, panom artystom Michałowi Hertzowi i Kazimierzowi Danyszowi serdeczne podziękowanie za łaskawą pomoc.

Panu A. K. P. w Inowrocławiu: Posiadamy w tece naszéj artykuł p. J. N. traktujący tę stronę kwestji teatralnéj, którą pan podnosisz; żałujemy więc, że pracy pańskiéj umieścić nie możemy.

X. T. M. ze Lwowa: Zanim zrobimy właściwy użytek z korespondencji pańskiéj, chcemy postarać się pierwéj o sprawdzenie faktów, co Pan uzna za słuszne, ze względu na ważność rzeczy.

Panu St... Sm... we Lwowie: pan J. K. Ż. nie odebrał żadnego listu w sprawie zamierzonego przekładu, — do którego my tylko zachęcać możemy

Dr. O'le w Krakowie: W num. 27 naszego Tygodnika rozpoczniemy druk Jego Theorji politycznych XVI wieku.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.